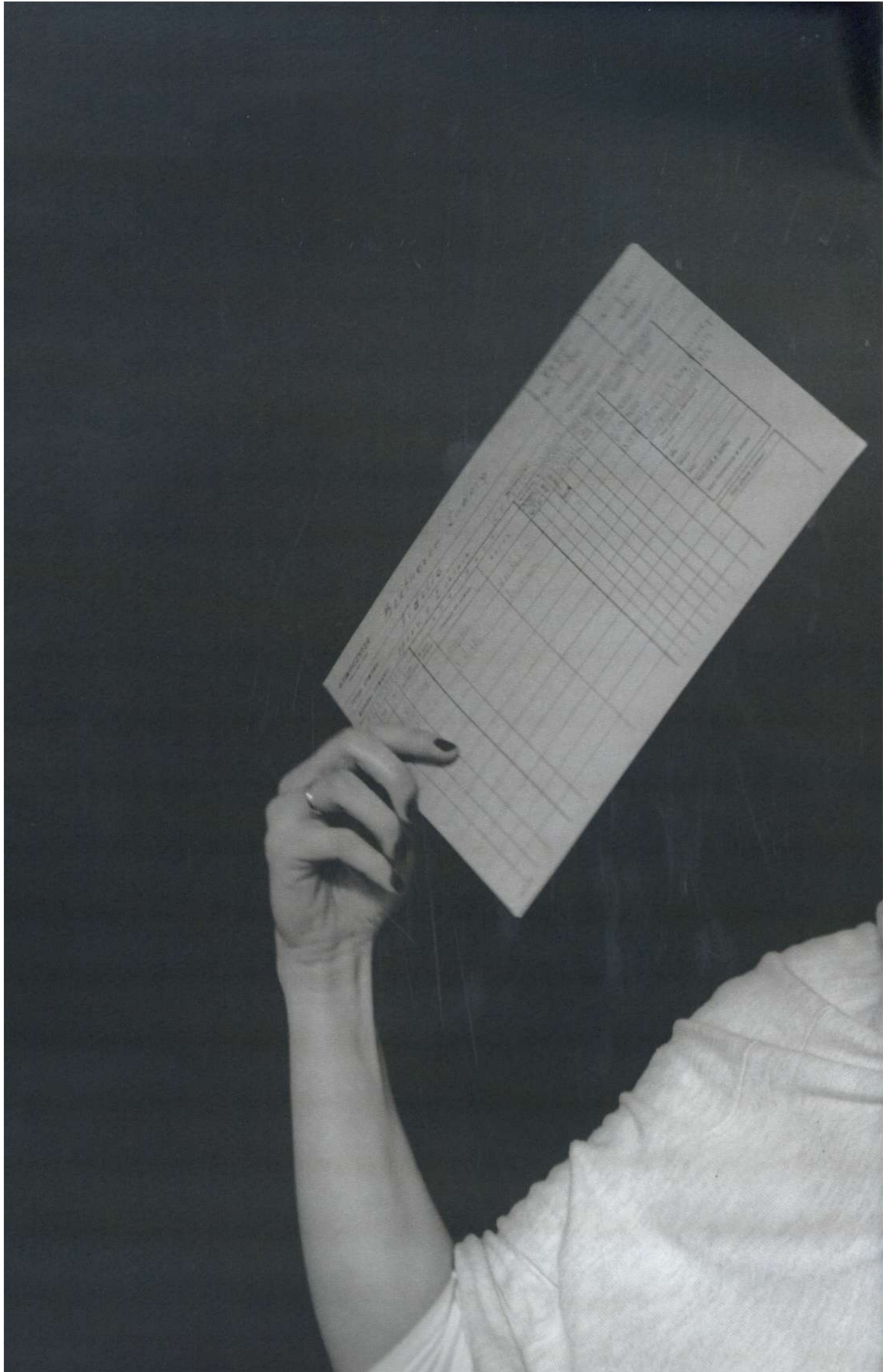
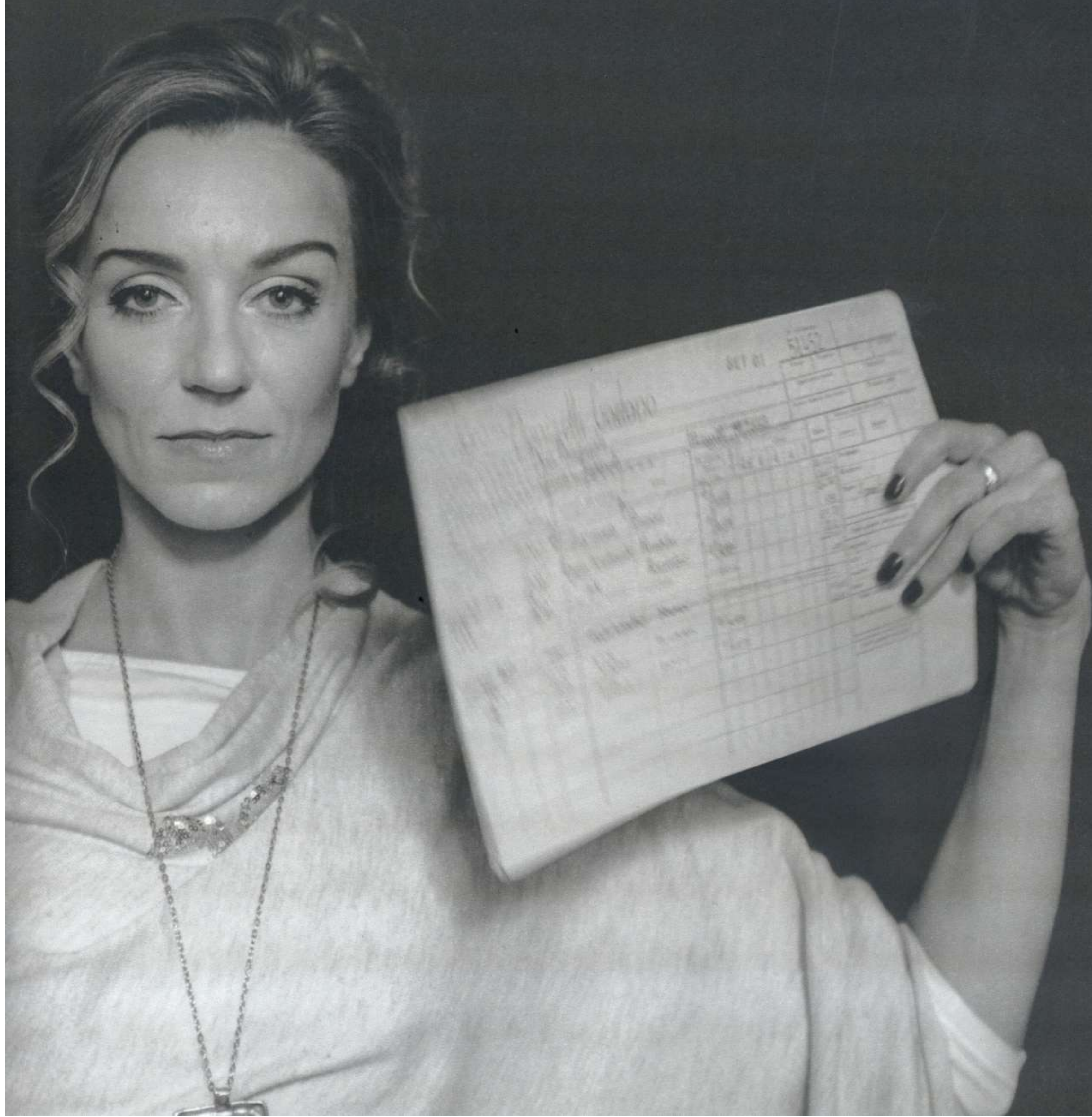






Joanna Freszel, śpiewaczka, absolwentka Wydziału Wokalnego UMFC w klasie prof. Jadwigi Rappé (2012). Stypendystka Ministra Kultury (2010, 2011), programu Pro Polonia (2011), programu ISA2012 (2012), zgłoszona do Paszportów Polityki (2010, 2012, 2017), odznaczona medalem Magna cum Laude dla najlepszego absolwenta UMFC (2013), otrzymała Stypendium „Młoda Polska” (2014). Nominowana w dwóch kategoriach do Nagrody Fonograficznej Fryderyki 2016. Odznaczona Złotym Orfeuszem (2016) przyznawanym przez Academie du Disque

Lyrique za najlepszą interpretację muzyki współczesnej – za płytę *real life song*. Laureatka wielu konkursów, m.in. II nagrody na Konkursie im. Haliny Halskiej (Wrocław, 2009), III nagrody i nagrody specjalnej w Konkursie im. K. Szymanowskiego (Łódź, 2009), nagrody specjalnej na Międzynarodowym Konkursie Belvedere im. Hansa Gabora (Wiedeń, 2011), I nagrody (Giuseppe Sinopoli Award) wraz ze specjalną nagrodą Opery we Frankfurcie na J:opera Voice Competition isa 12. Laureatka Paszportu „Polityki” 2017.

SZTUKA TO ZAZDROSNA KOCHANKA

Minęła era śpiewaków-herosów, teraz nie oni rządzą. Teraz władzę sprawują – nie oszukujmy się – reżyserzy. Śpiewak musi zrozumieć, gdzie jest jego miejsce. Podstawą jest umiejętność współpracy, a do tego trzeba dużej skromności – mówi Joanna Freszel

Tomasz Cyz: Dlaczego śpiew?

Joanna Freszel: To było coś bardzo organicznego i intuicyjnego od dzieciństwa. Już w przedszkolu moja mama słyszała od nauczycieli: „Ta dziewczynka powinna śpiewać. Proszę posłać ją do szkoły muzycznej”. Przypominam sobie te słowa często, są ważne i poważne – stąd je zapamiętałam. „Asia, czy ty chcesz iść do szkoły muzycznej?” – pytano mnie potem w domu. Oczywiście nie wiedziałam, co to jest, bo skąd. Ale hasło „szkoła muzyczna” kojarzyło mi się z dźwiękami, więc byłam szczęśliwa i powiedziałam: „tak!”.

Czy w twoim domu były tradycje muzyczne?

W niewielkim stopniu. Mama grała na akordeonie, interesowała się baletem. Przez kilka lat tańczyła. Ja w szkole podstawowej uczyłam się gry na akordeonie – to był mój

pierwszy instrument. Moja babcia bardzo ładnie śpiewała w kościele. Podobno moim przodkiem jest Franciszek Freschel (Freszel), baryton, ale nie wiemy dokładnie z której odnogi gałęzi genealogicznej pochodził. Pewne natomiast jest, że moja rodzina ma tradycje wojskowe.

To może pomagać w uczeniu się muzyki. Ten rodzaj drylu...

Z pewnością dyscyplina przydaje się w codziennej nauce muzyki, w poważnym traktowaniu tego, że jeden dzień zwłoki w ćwiczeniu to dwa kroki do tyłu. Tego mnie zresztą nauczyła moja nauczycielka od akordeonu – Joanna Kiełbińska. Ale to może się przydać także w innych dziedzinach życia. Osoba pracowita, która chce coś osiągnąć, musi poważnie traktować to, co robi – nic się nie robi samo. Chyba że ktoś jest bardzo, bardzo utalentowany. Takie osoby się zdarzają.

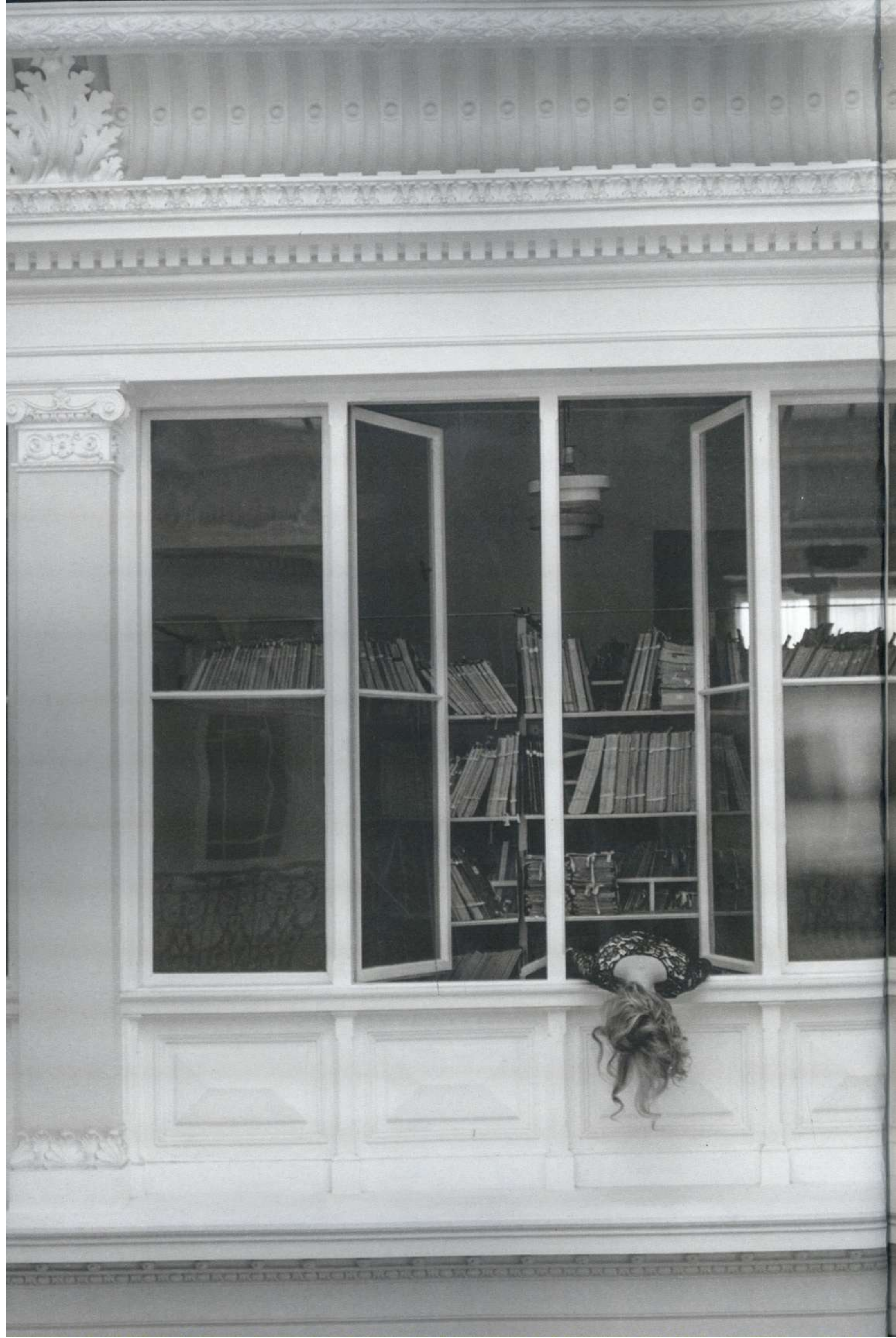
Ale potrzebny jest też łut szczęścia.

Te osoby zwykle mają szczęście. Niedawno – to było coś niezwykłego – zobaczyłam w internecie gruzińską pianistkę Khatię Buniatishvili, która udzielała wywiadu w swoim ojczystym języku. Urzeczona jej grą i świadomością wypowiedzi, zaczęłam szukać więcej materiałów o niej – okazało się, że płynnie posługuje się niemieckim, angielskim, francuskim, rosyjskim i oczywiście gruzińskim. Fantastycznie jest popatrzeć na kogoś tak zdolnego, ale z tym trzeba się urodzić. Nie dość, że piękna kobieta, to jeszcze świetnie gra i potrafi o tym zajmować i odważnie opowiadać.

Uczysz się jakichś języków?

Moim marzeniem jest mówić płynnie po niemiecku. Zaczęłam się uczyć niemieckiego podczas drugiej ciąży, ale urodzenie córeczki







skutecznie pokrzyżowało moje plany (śmiech). Na razie pozostaje to w sferze niezrealizowanego marzenia.

Stawiasz sobie cele? Próbujesz je realizować? Krok po kroku?

Zdecydowanie tak, przy czym one teraz wydają się bliższe życiu. Nie myślę o tym na przykład, że nauczę się danego utworu w tyle dni lub przebiegnę sto kilometrów. Zależy mi na rzeczach ogólnych, jak na przykład dobre wychowanie dzieci. To w polifonii spraw ziemskich i kosmicznych okazuje się najważniejsze. Rodzina, dbanie o siebie, o zdrowie, a nie tylko praca, praca, praca... Poświęcenie dzieciom takiej ilości czasu, na jaką moim zdaniem zasługują. Mimo silnych postanowień nadal w tej sferze pozostaje dużo do zrobienia.

Ale też wybrałaś uprawianie zawodu, który nie sprzyja poświęcaniu dużej ilości czasu sprawom rodzinnym.

To może być usprawiedliwienie.

Niestety, nie sprzyja. Niech będzie, że jestem szowinistką, ale powiem to: kobiety mają trochę ciężiej.

To nie jest szowinizm, tylko stwierdzenie faktu. Tak jest.

Niestety.

To oczywiście zależy od charakteru. Jedna kobieta radzi sobie z tym lepiej, inna gorzej. Wszystko zależy także od pomocy z zewnątrz, od partnera, od środowiska, w którym się wychowało. Może z racji wzorca, jaki przejęłam od moich rodziców, wiem, że jestem odpowiedzialna za dom i dbam o niego. W związku z tym wszystkie prace domowe kiedyś muszę zrobić. Nie dość, że to wymaga czasu, to również sporej uwagi i siły fizycznej. Pomimo stawiania rodzinnych spraw na piedestale, wciąż towarzyszy mi poczucie niespełnienia i myśl, że nie poświęcam dzieciom tyle czasu, na ile zasługują. A to kłóci się z systematycznym wykonywaniem własnej pracy.

Która nie jest pracą miejscową...

Sztuka to bardzo zazdrośna kochanka. Dasz jej palec, to ona weźmie rękę. Jeżeli o nią nie zadbasz, to się od ciebie odwraca. Był okres w moim życiu, kiedy zajmowałam się – nazwijmy to – sprawami stricte technicznymi. Skończyłam studia na wydziale ochrony środowiska. Równolegle wciąż śpiewałam w chórze Alla Polacca w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej – ale codzienny kontakt z systematyką, biochemią, geomorfologią (co mnie zresztą bardzo

interesowało) spowodował, że przeskalałam swój umysł i wywarł on, jak się potem okazało, silne piętno na moim sposobie postrzegania świata. Zaczęłam myśleć jak maszyna, technik, inżynier. Na trzecim roku ochrony środowiska podjęłam naukę śpiewu klasycznego w ZPSM im. F. Chopina w Warszawie przy ulicy Bednarskiej w klasie mojej kochanej profesor Hanny Rejmer. W grupie specjalizacyjnej na studiach mało kto interesował się moim artystycznym hobby. Powrót do nauki muzyki okazał się dla mnie dosyć ciężki. Dużo czasu zajęło mi odzyskanie niektórych rzeczy. Niektórych zmian już nie cofnę, ale oczywiście jestem bogatsza o pewne doświadczenia. Dzięki systematyczności i żołnierskiemu myśleniu potrafię połączyć wiele rzeczy w tym samym czasie.

Miedzy momentem, kiedy usłyszałaś, że powinnaś zająć się śpiewem, a rozpoczęciem przez ciebie nauki śpiewu minęło jakieś osiemnaście lat. Co działo się pomiędzy?

W podstawowej szkole muzycznej zaczęłam śpiewać w chórze w Teatrze Wielkim u Sabiny Włodarskiej. Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z operą – to było niezapomniane. Powierzano nam różne zadania wokalne i sceniczne, śpiewałam tam przez siedemnaście lat. Doskonale pamiętam moment, kiedy chowałam się z boku za kurtyną – śpiewaliśmy wtedy w *Tosce*. Ministranci powinni zejść do garderoby, ale jeden ministrant, który był obcięty na pazia i w rzeczywistości był dziewczynką, chował się za kurtyną...

I podglądał...

Słuchał! Nic nie widziałam, byłam wciśnięta w kurtynę.

Na przykład jak Scarpia ginie z ręki Toski...

Zawsze interesowała mnie zbrodnia (śmiech).

Wiedziałem!

Teraz wiem to mocniej, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym... Kiedy studiowałam ochronę środowiska, ciągle czułam, że mi czegoś brakuje.

A czy byłaś szczęśliwa?

Szczęśliwa byłam, bo ochrona środowiska bardzo mnie interesowała od lat. Zawsze czułam wyjątkowe połączenie z ziemią, z naturą. Zresztą byłam tak wychowana, żeby szanować to, co jest dookoła nas. Ale wciąż poszukiwałam

możliwości wyzwolenia, poczucia absolutnej wolności. W końcu porzuciłam próbówki na rzecz zazdrośnej kochanki.

Porzuciłaś naturalne drzewa na drewno przetworzone na deski sceniczne?

Jeżeli są dobrze wykorzystane, nie mam nic przeciwko. To się nazywa zrównoważony rozwój.

To jednak zadam to polityczne pytanie: ciąć drzewa w puszczy czy nie ciąć?

Uważam, że puszcza jest rejonem, w który nie powinno się w żaden sposób ingerować. Przypomnijmy, że Puszcza Białowieska jest jedynym w Polsce obiektem przyrodniczym wpisanym na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. To, co jest dziewicze, powinniśmy chronić. W związku z tym puszczy nie tykamy!

Powtórzę: nie tykamy! Dobrze, masz kilkanaście lat, stoisz za tą kurtyną, słuchasz i co?

I jeszcze wycieram baletki kalafonią, aby się nie ślizgać na scerfie. Raz nawet porządnie fiknęłam, ale jeden pan z chóru mnie podniósł. To było w trakcie *Cyganerii* i biegaliśmy jako dzieci z balonikami. Wspomnienia ze sceny z dzieciństwa mam fantastyczne.

To nie była „Cyganeria” w reżyserii Mariusza Trelińskiego z 2006 roku, prawda?

Nie. Z Mariuszem Trelińskim spotkałam się pierwszy raz przy okazji castingu do *Erosa i Psyche*. Było to nadzwyczajne spotkanie. Trwało piętnaście minut. Pan Mariusz wparował do sali, mówiąc, że bardzo nas przeprasza za spóźnienie i z zakłopotaniem zaczął wyjaśniać powód zwłoki. Było to urocze z jego strony, że w ogóle się tłumaczy. Po czym zadał mi dwie etiudy aktorskie i zawyrokował: „bierzemy ją”.

Dobrze, stoisz za tą kurtyną, czasem wchodzisz na scenę i?

Pamiętam coroczne gale kolędowe w TW-ON. Wciąż myślałam zwrotki *W łobie leży* i śmialiśmy się z tego, również ja.

Może lepiej śpiewać w innym języku, bo polski jest trudny do śpiewania.

Dlatego Pastuszka w *Tosce* lubiłam, bo byłam ukryta za sceną. A nawet jak się raz pomyliłam, to pani Danuta Chmurska zakryła mi usta i uratowała sytuację. Za kurtyną było bezpiecznie.

Scena: co to jest za miejsce? Co to jest za żywioł?

Fantastyczny. Może dzięki temu, że się tam wychowałam, tak ją odczuwam. Szczególnie kocham przestrzeń sceny Teatru Wielkiego-Opery Narodowej. Kiedy tam ostatnio występowałam, czułam się jakbym wróciła do starego, ukochanego domu.

Tak to też wyglądało z widowni.

Zapach, kolor krzeseł... To jest to! Wielką satysfakcję sprawia, że można odnaleźć w sobie postać, którą ktoś wymyślił i zapisał – w słowach, w nutach. Nie mam na myśli, żeby udawać kogoś innego, tylko rzeczywiście pozwolić sobie na bycie tym stworzonym przez kogoś bohaterem. Cały szkopał w tym, żeby go w sobie odnaleźć i by był on wiarygodny, prawdziwy, zrozumiały dla widza.

Co to jest za byt: postać operowa? Jak ją zbudować?

Trzeba zacząć od zrozumienia, kim mamy się stać. W związku z tym przygotowania zaczynam od tego, że mam wiedzieć: kto, co, dlaczego i kiedy napisał dany utwór. To dotyczy nie tylko utworów operowych. Dzisiaj odebrałam kolejny pakiet wyciągów i partytur. Nie liczy się suma, którą wydałam, tylko to, jaka fantastyczna treść jest w środku. Mnie to fascynuje. Na końcu takiej partytury zawsze proszę o dołączenie kilku czystych kartek, na których umieszczam potrzebne mi informacje, spostrzeżenia, notatki opracowane na podstawie lektur, wypisy z książek i internetu. Gruntowne poznanie rysu historycznego danego dzieła, przeświecenie preferencji kompozytora – to wszystko pomaga w budowaniu wiarygodnej postaci. Dopiero potem dochodzi warsztat wokalny i fizyczny. Należy przygotować ciało, opracować sposób poruszania się. Wszystko to i to, co dalej następuje, jest łatwiejsze, kiedy ten pierwszy, fundamentalny etap został dobrze opracowany.

Musisz wiedzieć?

Tak. Jeśli czegoś nie przetrawię, nie rozumiem, mogę być pewna, że nie wyjdzie. Sama dla siebie jestem najlepszym papierkiem lakmusowym. Jeżeli coś nie działa, to wiem, że wynika to z czegoś głębszego. Więc żeby zrozumieć, dlaczego na przykład źle buduję kulminację w danej frazie muzycznej (nawet technicznie), śledzę, czy dobrze poprowadziłam poprzednią myśl, wykonałam poprzedni skok w nutach. To są naczynia powiązane.

I tu wkłada się twoje pierwsze wykształcenie i nawyk systematyki.

Nie lubiłam tego przedmiotu (śmiech).

Wróćmy jeszcze raz do przeszłości: śpiewasz w chórze i zaczynasz zupełnie inne, techniczne studia.

Pochodzę z technicznej rodziny. Stamtąd wyniosłam to, że trzeba mieć wykształcenie, które może się okazać życiowym backupem. Zresztą później wiele osób mi powtarzało, że świetnie, że mam jeszcze inne wykształcenie, bo będę miała do czego wrócić. Ale dziś to już niemożliwe – po tylu latach przerwy? Owszem, lubię tamte tematy, czasem coś podczytuję, ale pod względem prawnym i nowych technologii jestem z tyłu.

Musiałabyś zacząć wszystko od nowa.

Na studiach muzycznych byłam o pięć lat starsza od moich kolegów i koleżanek. To wcale nie jest łatwe. Na przykład przychodzisz z dzieckiem na rękach, a któryś z wykładowców prosi, żebyś wyszła...

Kto tak prosił? Imię i nazwisko!

O, właśnie zapomniałam (śmiech). Albo na przykład ordynuje, że nie możesz pracować na studiach. A ten ktoś nie pomyślał, że chcę lub muszę pracować, bo jestem starsza od kolegów na roku i mam już pewne zobowiązania. Nie wszyscy wykładowcy starali się zrozumieć tę sytuację, ale od wielu otrzymywałam duże wsparcie. Pamiętam zajęcia z Jolantą Pszczółkowską-Pawlik z akompaniamentu lub z Lidią Krzyżanowską z przygotowania partii operowej, podczas których mój synek – dziś siedmioletni – siedział w foteliku na parapecie. On spał, a my pracowałyśmy. Takie sytuacje się zdarzały. I były piękne.

Studiujesz ochronę środowiska, ale w głębi duszy jednak marzysz, żeby śpiewać – lecz nie w chórze...

Chór uwielbiałam. Ale... chciałam śpiewać rozrywkę. Nawet zdawałam na wydział wokalny na Bednarskiej, ale komisja na egzaminie jakoś tak się zbytnio uśmiechała... I wtedy pomyślałam, że oni nie myślą o mnie zbyt poważnie (śmiech).

I nie będą to piosenki, tylko poważny operowy śpiew.

Nawet mimo drugiej nagrody w konkursie „Mikrofon dla wszystkich” w studio S1. Śpiewałam piosenkę Anny German *Tańczące Eurydyki*. Ale to było dawno i już nieprawda.

Ten poważny śpiew rodził się w bólach i zaczął brać górę. No dobrze: po co to wszystko?

Pewnych rzeczy nie da się wytłumaczyć. To siedziało we mnie od bardzo dawna. Teraz, kiedy obserwuję moją córeczkę, która ma trzy lata, przywołuję sobie rozmaite sytuacje z własnej przeszłości. Zauważyłam na przykład u niej... pieszczenie. Ona uwielbia pieszczę! I przypomniałam sobie, że jako dziecko robiłam dokładnie to samo. Uwielbiałam wydawać z siebie wysokie dźwięki – zwłaszcza tam, gdzie była dobra akustyka. Interesowało mnie też, jaki to ma wpływ na ludzi. Mieli wówczas najczęściej dziwne miny i bardzo mnie to nurtowało. Potem, w szkole podstawowej, zauważyłam, że klatka schodowa ma bardzo fajną akustykę i zamiast ćwiczyć na flecie poprzecznym w domu, wychodziłam na klatkę.

Sąsiedzi coś mówili, komentowali?

Byli wyrozumiali. Było mi bardzo miło, kiedy napotkany sąsiad powiedział: „Asiu, chyba dawno nie ćwiczyłaś”.

Czyli potrzebował tego?

I on, i ja. Moja próżność była karmiona od dziecka (śmiech). Ta potrzeba śpiewania jest czymś niewytłumaczalnym. Sprawia mi to niewiarygodną frajdę: śpiewanie, odkrywanie, uczenie się. Uwielbiam się uczyć. Mam na tym punkcie fioła. Jak widzę te nowe nuty w torebce, to...

... to chcesz kończyć tę rozmowę...

Czuję zapach tej partytury, wiem, jak długo będę patrzeć na te znaczki, nim wydobędę pierwszy dźwięk...

W szkole od pierwszych lat lubiałaś rozczytywać utwory na akordeonie, flecie poprzecznym?

Akordeon właściwie sprawiał mi więcej bólu niż przyjemności. Pamiętam, jak miech ścisnął moje udo – to nie był łatwy instrument dla mnie. Natomiast rzeczywistość czytanie nut głosem było jedną z moich silniejszych stron. Gorzej było z harmonią (śmiech). Teraz też bardzo lubię czytać. Siedemnastoletnie muzykowanie w chórze – na dodatek jako alt – wyzwoliło we mnie potrzebę harmonii. Zawsze poszukiwałam i nadal poszukuję wypełnienia, korelacji. Teraz wiem, że dzięki zazwyczaj trudniejszemu zapisowi i nieoczywistej linii melodycznej tych środków, obecnie łatwiej uczyć się innych rzeczy. ➤

Powiedziałas coś o własnej próżności. Czy jest możliwe, żeby śpiewak operowy – byt przecież specyficzny – miał w sobie skromność?

To jest pytanie podchwytliwe, prawda?

Nie. Kiedy wychodzisz na scenę, wiesz, że musisz pokonać kilkadziesiąt instrumentów ukrytych w kanale, pokonać przestrzeń, którą masz do zagospodarowania. Nie mając wewnętrznej siły, nie będziesz w stanie tego zrobić.

To bardzo ciekawy temat. Moim zdaniem śpiewak operowy powinien łączyć osobowość narcystyczną (w pozytywnym znaczeniu) właśnie ze skromnością. Powinien być pewny siebie, znać swoją wartość, ale musi przy tym zachować pokorę. Okazuje się, że w naszych czasach właśnie skromność jest na wagę złota.

Wynika to z tego, że już minęła era śpiewaków-herosów, teraz nie oni rządzą. Teraz władzę sprawują – nie oszukujmy się – reżyserzy. Śpiewak musi rozumieć, gdzie jest jego miejsce. Podstawą jest umiejętność współpracy, a do tego trzeba dużej skromności. Ostatnio, obserwując pewną sytuację, zorientowałam się, że, owszem, pewność siebie jest na wagę złota, lecz w momencie, kiedy się słyszy komentarz o innym artyście: „Chyba już go nie zaprosimy, ponieważ współpraca z nim jest trudna”, to obserwatorowi z boku, jak ja, otwierają się oczy na to, co tak na dobrą sprawę jest najistotniejsze. Właśnie współpraca. W teatrze potrzebne jest, żebyśmy wszyscy chcieli się dogadać, a nie egoistycznie brnąć ku własnym celom. Bez poszanowania drugiej osoby, bez wsłuchania się w partnera dziś nie można dojść daleko.

Chyba że ktoś ma talent na miarę Marii Callas albo Luciana Pavarottiego.

Chyba że tak. Natomiast tak czy siak taka osoba będzie szanowana jako artysta, ale będzie do niej przypięta etykieta: „trudny/a”. Nie wiem, czy to jest miłe określenie. Chociaż podejrzewam, że takie osoby w ogóle nie liczą się z opiniami. Uwielbiam słuchać innych. Płyta, którą wydałam dwa lata temu, to efekt wielkiej współpracy. Przeznaczyłam na nią moje stypendium „Młoda Polska” – wszystko, żeby pomóc młodym ludziom i połączyć ich. Taki rodzaj współpracy zwraca się zresztą potem z nawiązką.

Ale ten świat chyba zawsze był tak ułożony. Świat wielkich artystów, silnych napięć, jakie są z tym

związane. W operze mamy do czynienia z hierarchizacją zupełnie inną niż na przykład w teatrze dramatycznym. Podwójne obsady i od razu wiadomo, że ktoś jest lepszy, ktoś jest gorszy, ale i tak pytamy: dlaczego tak? Nie jesteśmy w stanie zrozumieć, że jesteśmy od kogoś słabsi. Więc już na starcie walczymy, czasem brzydkimi środkami.

Ja z tymi złymi środkami nigdy się nie zgadzałam i nie zgadzam. Miałam chrzest bojowy już na Bednarskiej. Pewna sytuacja mnie nauczyla, że bywają różni ludzie, natomiast ja chyba jestem uodporniona na takie zachowania. Sama źle radzę sobie z sytuacjami konfliktowymi. W związku z tym, jeżeli tylko mogę, to ich unikam, bo wtedy po prostu język się nie słucha, emocje biorą górę i... Znając swoją osobowość, po prostu lubię żyć pokojowo.

Rozumiem. Zmieńmy jeszcze temat: kształcąc się, spodziewałaś się, że któryś obszar muzyki będzie ci bliższy? Że w czymś chcesz się specjalizować? Na przykład w muzyce współczesnej?

Moje początki to wcale nie była muzyka współczesna, tylko barok, który bardzo dobrze wpływa na emisję. Świetnie też uczy słuchania innych wykonawców. Ale dość szybko pojawił się także Szymanowski – niewiele osób patrzyło na te nowe dla nas nuty z przyjemnością, ale ja zauważyłam w nich cudowny, niezbadany świat muzyczny. To było coś, czego inni nie rozumieli albo nie mieli ochoty do tego zaglądać. Może znów zachowałam się przekornie i postanowiłam się tym zająć. Dopiero potem usłyszałam miłe stwierdzenie, że mój głos ma predyspozycje do wykonywania muzyki nowszej – może z racji niezbyt dużego wibrata, ostrzejszej barwy. To są już rzeczy, na które niekoniecznie mam wpływ. Po prostu mam taki rodzaj głosu. Ostatnimi laty zaczęłam się specjalizować w wykonawstwie muzyki współczesnej. Jako pierwsza specyfikę mojego głosu uświadomiła mi moja profesorka, Jadwiga Rappé. Nie dość, że podsyłała mi bardzo dużo nowej literatury, to jeszcze zachęcała i wyjaśniała, że nie ma wielu wykonawców tego rodzaju muzyki. Zaczęła mnie kontaktować z różnymi osobami i podawała mi pomocną dłoń. To dzięki niej wykonałam z Kwartetem Śląskim *Audycję VI* Andrzeja Krzanowskiego. To był niewątpliwie przełom w moim życiu wokalnym. Dlatego pojawiła się też propozycja wykonania *Primordia Rerum* Oscara Bianchiego na Warszawskiej Jesieni.

Okazało się, że sprawdzasz się w takiej muzyce.

Sama zaczęłam łaknąć nowych kompozycji, szukać nieznanych mi środków wyrazu. Chciałam eksperymentować z własnym ciałem. Zainteresowało mnie, o czym myślał kompozytorzy, jaki zapis stosują, w jaki sposób znajdują swoje ja. Pamiętam, jak mnie zajmowały tabele Romana Haubenstocka-Ramatiego (*Credentials or „Think, Think Lucky”*), precyzyjne rytmy Georga Crumba (*Madrigals, Books II* lub *Federico's Little Songs for Children*), kolorowe wykresy Johna Cage'a (aria nr 2), język stworzony przez Aleksandra Kościową (*Slykialan Eavvat*) lub improwizowane fragmenty Uriego Caine'a (*Im Memoriam* dla Andrzeja Chłopeckiego). Tego rodzaju eksperymenty dają niewiarygodnie dużo bodźców, takich, których na co dzień nie jesteśmy w stanie sami wymyślić. Jestem wyróżniona – właśnie dzięki muzyce. Czuję się jak synestetyk. Ten dar – bo przecież nie choroba – pozwala odbierać świat w zupełnie inny sposób. To mnie inspiruje. Zazdroszczę synestetykom – w moim notatniku mam listę takich osób, bo wiąże pewne plany z nimi, ale niech to zostanie na razie tajemnicą.

Nie tęsknisz do wielkich operowych heroin?

Całkiem niedawno, mając przed sobą o 23 całe biurko zakryte nowymi utworami, otworzyłam YouTube'a i włączyłam arię *Chi il bel sogno di Doretta* z *Jaskółki* Pucciniego w wykonaniu Kiri Te Kanawy. Miałam wrażenie, że świat się zatrzymał, że te trzy minuty rozciągnęły się w wieczność. To był powrót do tego, co jest w człowieku najgłębiej. Zorientowałam się wtedy, że, owszem, jestem szczęśliwa, wykonując nowe, ciekawe partytury. Ale w gruncie rzeczy tęsknię za belcantem. W krótkim czasie pojawiła się propozycja dołączenia do obsady *Erosa i Psyche* i byłam niezmiernie szczęśliwa, że będę mogła zmierzyć się z podobną harmonią jak Puccini, z czymś głębokim, bardziej tonalnym – a muzyka Różyckiego daje niewiarygodnie dużo przyjemności już z samego faktu słuchania jej. Ma przepiękną, gęstą orkiestrację. Uwielbiam muzykę naszych czasów, ale głęboko tęsknię za belcantem. Choć wiem, że są osoby, które robią to lepiej ode mnie.

A chciałabyś?

Czas pokaże. To nie jest tak, że wszystkie propozycje można przyjąć, ale gdyby się pojawiła możliwość wykonania partii Magdy



z wcześniej wspomnianej *Jaskółki* Pucciniego albo partii Roksany z *Króla Rogera* Szymanowskiego, to nie zastanawiałabym się.

Coś mi się zdaje, że w Warszawie szykuje się za dwa sezony nowy Król Roger... Życzę powodzenia. Nad czym teraz pracujesz?

Grudzień była dla mnie się intensywnym okresem. Wraz z reżyserką teatralną Jolantą Denejko i pianistą Tomaszem Pawłowskim poprowadziłam warsztaty dla nauczycieli przedmiotów muzycznych w Radziejowicach. Miałam nagrania do *Miłości Orfeusza* Juliusza Łuciuka z Olgą Pasiecznik, Tomaszem Koniecznym i Tadeuszem Szlenkierem w obsadzie. Po nich koncert na UMFC z utworem Rafała Janiaka *Pięć pieśni zdradzonej*, a następnie kolejne nagranie – *Audycji IV* Andrzeja Krzanowskiego. I końcówka roku w Teatrze Wielkim im. Stanisława Moniuszki w Poznaniu. Na to wszystko nałożyło się bolesne doświadczenie osobiste, bo pożegnaliśmy mojego teścia. Cały szkopał w tym, żeby znaleźć w tym wszystkim równowagę. Wszystko wymaga czasu, i sukces i porażka, a jeśli do tego dochodzą sprawy rodzinne, nie wolno sobie pozwolić na zaniedbania własnych myśli i sumienia. Takie niedokończone sprawy wracają, później wszystko spowalniają. Na wszystko trzeba znaleźć czas i według mnie należy uszanować każdy „dar” losu.

Czujesz, że jest w tobie szaleństwo czy raczej konkret?

Po premierze *Erosa i Psyche* koleżanka w żarcie określiła mnie nowym rodzajem głosu: sopranem charakternym (śmiech). Wydaje mi się, że jestem gdzieś pomiędzy szaleństwem i konkretem. W sumie, to ty właśnie stworzyłeś moją definicję. Twoje pytanie jest moją odpowiedzią.

Coś musi przeważać...

W momencie, kiedy dana czynność wymaga systematycznego sposobu działania, przeważa konkret. To się przydaje w czasie organizacji koncertów, pracy i życia domowego. Nie zapomnieć zadzwonić, umówić lekarza, obszyć łatki na spodniach synka. To wszystko wymaga maksymalnego wykorzystania każdej minuty i robienia ciągłych notatek. U nas co kilka dni powstaje nowa lista, a ja tylko wykreślam kolejne rzeczy. Z tym wykreślaniem to różnie bywa, ale...

Nie bądźmy małostkowi.

Lubię, kiedy przeważa szaleństwo – przy czym ono najczęściej jest przygotowane, poparte pragmatyzmem. To taka pragmatyczna wolność.

Aleatoryzm kontrolowany.

Właśnie to chciałam powiedzieć. Słyszałam ostatnio anegdotę, jak Piotr Skrzynecki w Piwnicy pod Baranami na swoim koncercie zobaczył Witolda Lutosławskiego i chcąc go bardzo ładnie powitać, powiedział: „Witamy wielkiego mistrza, jakże jego aleatoryzm jest pięknie kontrolowany”. Więc to jest coś podobnego.

W pewnym momencie dotknęłaś takiego tematu: kobieta w pracy, w domu, wśród uczuć, namiętności... Powiedziałaś, że kobieta ma trudniej. Jak sobie z tym radzić?

Ja mogę się wypowiedzieć tylko na bazie własnego doświadczenia. Wyobrażam sobie, że wiele kobiet lubi dbać o swój dom, natomiast nie należy z tym przesadzać. Trzeba pozwolić sobie na bycie dobrą wobec samej siebie, czasami odpuścić nieskazitelną porządek w szafie, tornistrze dziecka. Trzeba korzystać z pomocy otoczenia, przyznawać się czasem do tego, że czegoś nie jest się w stanie zrobić. Być po prostu ludzkim. Dla siebie. Szczerze mówiąc, dojście do takiego sposobu patrzenia na siebie zajęło mi trochę czasu. Długo działałam na zasadzie maszyny. I w pewnym momencie zauważyłam, że tak dalej nie mogę, że granice fizyczne człowieka rzeczywiście istnieją. Na pewno należy robić to, co się lubi. Trzeba patrzeć w głąb siebie, ale także wokół siebie. Wcześniejsza pomoc innym zawsze do ciebie wróci, dlatego warto być otwartym na innych.

Pojawienie się dziecka jest rewolucją dla głosu?

Zwykle tak. Jeżeli chodzi o sam głos, to po urodzeniu dziecka często zmienia się, obniża, nabiera cieplejszej barwy – ale to nie jest reguła. W moim przypadku była to bardzo mała zmiana, choć zauważana przez znajomych. W moim odczuciu nabrał on większej dojrzałości, ale może to wynikało z większych umiejętności i odwagi w korzystaniu z niego. Teraz jest cieplejszy, może mieć bardziej zmienną barwę. Wiadomo, że w związku z upływem czasu dotykamy innego repertuaru. Wciąż się uczymy, rozwijamy i to też ma wpływ na nowe środki wyrazu i samą barwę. Wiele śpiewaczek robi sobie dłuższe przerwy przed i po urodzeniu dziecka. To bardzo indywidualna sprawa.

Śledziłaś te zmiany?

Kiedy dowiedziałam się, że zaszłam w ciążę, starałam się najpierw zasięgnąć języka. Dowiedzieć się, jaki to może mieć na mnie wpływ. Po roku to moje koleżanki mnie o to pytały. W ciąży bardzo często występuje takie zjawisko jak obniżona przepona, lepsze i głębsze appoggio, a głos wydaje się łagodniejszy, bardziej stabilny. Po narodzinach dziecka trzeba dać czas na ustabilizowanie hormonów, więc ćwiczenia głosu przez pierwszy miesiąc – dwa miesiące po porodzie spokojnie można sobie odpuścić. Ja zaczęłam w drugim tygodniu, bo akurat miałam koncert, ale moje ryzyko się opłaciło, bo pierwsza ciąża była bardzo łaskawa. Z drugą wyglądało to zupełnie inaczej: czułam się niekorzystnie, śpiewało mi się również gorzej. Ale nie zaobserwowałam żadnej zmiany w głosie po przywitaniu na świecie Zuzi. Najważniejsze, aby myśleć pozytywnie, aby działać roztropnie i systematycznie. Stan naszej psychiki i ciała jest determinantem jakości głosu. On jest bowiem odzwierciedleniem kondycji ciała i duszy. A zatem właśnie jak najlepszej kondycji ciała i duszy w 2018 roku oraz wszelkiej pomyślności życzę wszystkim artystom i czytelnikom „RM”.